



Egz. archiwalny 181.

F. S. D. (moskowi)

O życiu i piśmie Dominika
Lisickiego.

Wyd. z Bibl. Warsz. 1847 t. II

INSTYTUT
LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



O ŻYCIU

I PISMACH DOMINIKA LISIECKIEGO.

Jest w literaturze naszej okres, lat trzydzieści zawięrający, który same tłumaczenia i naśladowstwa zapełniają; a jeżeli zjawi się jaki utwór oryginalny, to i ten ze swego ducha i kształtu, tak jest naśladowniczym, iż prawie nie stanowi wyjątku.

Starsi pisarze naśladowali i tłumaczyli poetów łacińskich; młodszy czerpali wyłącznie z literatury francuskiej; dwóch lub trzech tylko, i to dopiero przy końcu okresu, przekładać zaczęło Anglików i Niemców. Okres ten, zakończył się między rokiem 1824 a 1825. Wtenczas powstały i wykształciły się nowe talenta; literatura otrzymała nowy popęd i dążenie: owocześni pisarze i tłumacze, prędko zeszedli z widowni literackiej, a plody kilku znakomitych wieszczów, świetniejszy blask rzuciły na odrodzenie się poezji polskiej.

Ten okres naśladowstwa i tłumaczenia, obejmuje pisarzy, może zanadto uwielbianych z początku, a teraz skutkiem zwyczajnej reakcyi, zanadto zapominanych, a nawet niesprawiedliwie ocenianych przez terażniej-

szych krytyków, którzy, w chwalebnej może, ale wzbitecznej gorliwości, uważają tę epokę za straconą dla naszego języka; a zamiast przyznać, że ona była nieuchronną wynikłością kolei i stanu kraju naszego, że była epoką przejścia do wyższej sfery, gniewają się na pisarzy ówczesnych, za złe im poczytują, że byli tłumaczami i naśladowcami, a nawet ich obwiniają, że przez te prace swoje, opóźnili postęp literatury ojczyściej.

Im bardziej oddalamy się od téj epoki, tém bliższa jest ta chwila, w której znajdzie się bezstronny i żadnymi względami niehamowany sędzia, który naszym autorom zasłużone miejsce naznaczy. On wskaże, że wszystkie wypadki w życiu narodu, czyto jego dziejową, czy naukową stronę uważać będziemy, są w ścisłym i nieuchronnym związku z przeszłością; tak dalece, iż można by nawet z matematyczną pewnością obrachować ich następstwa. Takito bezstronny sędzia, nie odrzuci z pogardliwém milczeniem, albo z jaką szyderską wzmianką prac tych pisarzy, którzy przez długi czas zastępowali przekładami, brak oryginalnych tworców; skarby obcych narodów przystępnymi czynili dla współziomków swoich, a czystym i harmonijnym wiérsem, wykonywając tę pracę, zachęcili może i wywołali, z grona ówczesnej młodzieży, nie jednego z następnych oryginalnych poetów.

Już przy końcu tego naśladowczego okresu, żył i pisał zmarły w roku przeszłym, Dominik Lisiecki, którego pamięci i pracom literackim ten artykuł poświęcamy. Głównie zajmował się tłumaczeniami. Przekład Nieszporów sycylijskich, tragedyi Kazimiérza Delavigne, i Dumania poety Lamartina, ogłoszone drukiem. Dał na scenę warszawską, tłumaczenie komedyi Delavigne: „Szkoła Starców” i komedyą przełożoną z francuzkiego „Niestaly.”

W rękopismach zostawił przekład tragedyi „Śmierć Cezara” Woltera, na teatrze Wileńskim, w r. 1821 grany, i Polieukta tragedya Kornela. Oprócz tego, był tłumaczem i naśladowcą kilku pomniejszych sztuk teatralnych, zalecających się dowcipnemi i lekkimi śpiewkami. Należał w czasie między rokiem 1819 a 1821, do wydawania peryodycznych pism: „Tygodnik Polski” i „Wanda”, pospołu z Brunonem hr. Kicińskim, redagowanych. Dowcipny i zabawiający w owym czasie Warszawę „Momus” Żółkowskiego, w sposobie dodatku, przy obu tych pismach wychodził.

Przekłady: Nieszporów sycylijskich, Dumań poety, i Szkoły starców, stanowią główną Dominika Lisieckiego zasługę, i mieszczą go wrzędzie znakomitych naszych pisarzy; wierność tłumaczenia, czystość języka, moc połączona z gładkością, są ich znamieniem. Temi zaletami, szczególnieź odznacza się przekład Lamartina. Dumania poety, zrobiły wielkie wrażenie we Francyi, i były pierwszym hasłem, do przejścia w literaturze tego narodu, z dawnych form i rutyny ośmnastego wieku, do nowych idei i nowój szkoły. Styl ich świetny, polotny, pełen niezwykłych a zawsze trafnych i pięknych wyrażen i zwrotów. Myśli filozoficzne i religijne, poetyckim oddane językiem, niemałe trudności tłumaczowi stawiały. Lisiecki zwalczył je szczęśliwie. Ta jego praca, już dawno w księgarniach wyczerpana, mało jest znaną tegoczesnym czytelnikom. Przytaczamy z niej obszerniejszy wyjątek, jako dowód pięknego talentu tłumacza.

WIARA.

O niezgłębna nicości, ty jedyny Boże!
Którego śmiertelnika rozum pojąć może:

Czemu twa otchłań, ludzi wieczyście nie chłonie?
Jak mocnym snem na twojém spoczywałem łonie!
Jeszczebym się z wiecznego uśpienia nie zbudził,
Ni światłem nienawistnym oczy moje trudził.
Długiej nocy spokojne kryłyby mię cienia;
Szczęśliwy! snu bym nie znał, nie znał przebudzenia!
Lecz żyję—Niebo chciało..... naprózno bym przeczył,
Tak jest, żyję, niestety!—bym życiu złorzeczył!
Ta jednak pierwsza zorza, ten jej promień złoty,
To niepewne ocknienie wątpliwój istoty,
Ten przestwór obcym dla mnie będący widokiem,
Niebo, które ciekawém zapytuję okiem,
To próżne zachwycenie, te nadziei zdroje,
Jeszcze w progu istnienia rażą oczy moje.
Świeciel w którym żyć będę z przeznaczenia woli,
Witaj świadku przyszłego szczęścia lub niedoli!
Witaj święta pochodnio! matko przyrodzenia
Słońce! pierwsza miłości wszelkiego stworzenia;
Świetne niebo! mieszkanie Stworzyciela świata:
Ziemio! kolébko ludzi, w rozkosze bogata,
Śmiertelny, mnie podobny! ty miłsza z widoku,
Drozsza sercu mojemu, przyjemniejsza oku!
Witajcie! przez was poznam chwil ziemskich rozkosze,
Pełnijcie przeznaczenia, serce wam przynoszę.

Jakże ten sen jest świetnym, lecz jest snem, niestety!
Niedawnom począł zawód, już dobiegam mety;
Boleść grób mi otwiera, i życie umniejsza:
Witaj chwilo ostatnia, chwilo najpiękniejsza!

Tak jest, żyłem, przetrwałem doli méj niestatek.
Zawsze pod krokiem moim każdy zwiędął kwiatek,

Zawsze igrając ze mną nadzieja niestała,
 W niepewnych mi przestrzeniach szczęście wskazywała;
 Zawsze okrutnej śmierci gorejące tchnienie,
 W ustach moich żywotne niszczyło strumienie.
 Niech inny gdy go w żalu opuści odwaga,
 Chwil zbiegłych, od przeszłości zwrotu się domaga;
 Na zwiedłe kwiaty wiosny niech z żalem spogląda,
 Niechaj życiem powtórném, żyć na nowo żąda.
 Ja zaś, chociażby niebo obdarzyć mię chciało
 Tronem świata całego, gieniuszu chwałą,
 Choćby mi los bogactwa z mądrością przeznaczył,
 I w niezmiennéj młodości utrzymywać raczył;
 Nie chcę o dzień być młodszym, owszem kończyć wolę
 Pielgrzymkę na tym świecie, na tym łez padole:
 Na tym świecie, gdzie wszystko zniknie i przeminie,
 Gdzie wszystko, pamięć nawet, omdleje i zginie,
 Gdzie wszystko jest niepewném, znikomém, niestałym,
 Gdzie dla dnia pomyślności jutra już nie miałem!

Raz zdradzony istnieniem, w dniach w nieszczęścia pło-
 dnych,

Nazawsze się nadziei wyprzysięgam zwodnych;
 To znów, gdy burzom siły strudzone nie starczą,
 Umysł mój zimnej cnoty zastawia się tarczą.
 Znów go zajmuje mądrość Zenona wątpliwa.
 Wtenczas płaszczem stoickim niemoc swą okrywa;
 Czasem już obojętny, gdy los się nie zmienia,
 By uzyskać spokojność wzywa zapomnienia....

Czém jesteś duszo? ogniu dręczący człowieka!
 Czyli cię dalsze życie i męczarnia czeka?
 Tajemnicza istoto! gdy to ciało rzucisz,
 Do wielkiej dnia pochodni nazad-li powrócisz?

Może jest twojém źródłem silny słońca płomień?
Możesz ty iskra jego, lub zbłąkany promień?
Może téż umiérając razem z śmiertelnemi
Czystszym tylko niż oni jesteś plodem ziemi?
Jesteś gliną myślącą, ożywionym pyłem!
Lecz co widzę? tą mową znów cię zatrwożyłem.
Niezdolna znieść nicości, losom się opierać,
Niestety! żyć się lękasz, lękasz się umierać!—

Któż cię zdoła odgadnąć straszna tajemnico!
Tak wielką przenikłością mędrce się nie szczygą.
Každy z nich z ułomnością człowieka się rodzi,
Wysoki więc ich umysł wątpliwosć uwodzi.
Gromadząc iskry światła starożytnych wieków,
Sokrates chciał ją zgadnąć w wiosnie chwały Greków;
Nie pokonał trudności i umysł Platona,
Choć tysiąc lat ubiegło i mój nie pokona: —
Tysiąc jeszcze ubiegnie, téjże nocy mrokiem,
Przed późnej potomności kryć się będziesz okiem.
Trudną prawdę wieczyste zasłoniły cienie,
Sam Bóg tylko połączy rozpierzchłe promienie.

Jako! gdy szybkim krokiem ku grobowi spieszę,
Żadną się już przyszłości nadzieją nie cieszę,
Duch mój, bez przewodnika, światła i pomocy,
Przejdzie w ciemną noc grobu, z tego życia nocy?
W drugi świat, przed najwyższą poniesie istotę,
Nieszczęścia bez nagrody, bez nadziei cnotę?
Odpowiedz Boże srogi! jeżeli jesteś w niebie!
Mam-li nieszczęsne prawo narzekać na ciebie?
Wyrobnik za trud dzienny, za staranną pracę,
Spocznie w chłodzie wieczorem i odbierze płacę;

A ja że ciągle walki z nieszczęściami wiode,
Kończąc dni oplakane, w śmierci mam nagrodę!

Lecz gdy tchnący bluznierstwem, okryty żalobą,
Z okiem na grób zwróconém, lży leję nad sobą;
Jakby słodkie wspomnienie wiara się ocuca,
Na bladą przyszłość moję blask nadziei rzuca:
Ziębłego w cieniu śmierci ożywia, zagrzewa,
I w ciało wiekiem słabe młodość duszy wlewa.
W blask téj boskiej pochodni cofam się radośnie,
Od jesieni dni moich, -ku jój miłej wiosnie.
Przeglądam bez trudności przyszłość świata ciemną.
Wszystko ścisłym porządkiem łączy się przedemną.
Wskazując mi obecność, cień przyszłości znika;
Za mną bramę nicestwa nadzieja zamyka;
A otwarłszy widokrąg przed okiem zdumioném,
Trudną życia zagadkę rozwiązuje zgonem.

Wiara na mnie niestety, czekała przy grobie!
Pamiętam: w progu życia już ją czułem w sobie.
Nieśmiertelne dziedzictwo, obiecaną ziemię,
Wiek podaje wiekowi, plemieniowi plemię.
Odbiera ją natychmiast z pierwszém tchnieniem dziecię,
Jako błogi dar nieba, jak światło, lub życie.
Ten ogień w serce jego, gdy na świat się rodzi,
Jako pokarm dla duszy z ust matki przechodzi.
W życia jeszcze poranku przejmuje człowieka
Blasku jego pochodnia; rozumu nie czeka.
Drobne dziecię, próbując zdolności mówienia,
Już święte hasło wiary wczesnie wyszeplenia;
A[uchowane przy matce w niewinnój prostocie
Czuje, że wzrasta równo tak w wierze jak w cnocie.

O! gdyby prawda ziemi udziałem być miała,
Bez wątpienia te proste cechy odebrała,
Bez wątpienia winnaby, gdy w każdym widoku
Od młodości naszemu przedstawia się oku,
Niebieskiego płomienia podobna iskierce,
Od przedmiotów przejść w umysł, a z umysłu w serce.
Winnaby duszy naszej zewsząd się udzielać,
Połączać się z wspomnieniem, w obyczaje przelać;
Winna jak płodne ziarno, które zima chłonie
Długi czas, wprzód nim zejdzie, w naszym wzrastać łonie.
A gdy przebędziem lato, płodne w burze, troski,
Nieśmiertelności naszej wydać owoc boski.

O słońce które światu jaśniejesz wyższemu!
Tajemniczego światła użyż oku memu!
Zstąp od Boga, promyku darzący pokojem,
Gwiazdo ożywiająca wznieś się w sercu mojem!
Tobie już tylko ufa nad grobem stojący.
Opuszcza mię w ciemnościach rozum bledniejący,
Rozum niegdyś tak dumny! Siły pozbawiona
Blasku jego pochodnia, razem z życiem kona.
Jasności! która niebios oświećasz podwoje,
Zastąp ją, dniem pogody oblój oczy moje!
Jako gwiazda wieczoru na niebios błękitcie,
Lub jak słońce przyświecaj kończącemu życie!

Przekład Szkoły Starców, z oklaskami był przyjętym na teatrze warszawskim. Rzecz sama, może nie dość komiczna, liczy się przecież do pięknych tworów tegoczesnej literatury, a tłumaczenie odznacza się poprawnością, wiernością i gładkim wierszem. Z tej pracy Lisieckiego, dotąd w rękopiśmie zostającej, przytaczamy wyjątek:

SZKOŁA STARCÓW.

Komedia. Akt pierwszy. Scena pierwsza.

DANWIL, BONAR.

Bonar.

Ach! jaką czuję rozkosz, gdy po latach wielu,
Znów cię mogę uściskać dawny przyjacielu!

Danwil.

Skorom wczoraj tu przybył, natychmiast znać daję...

Bonar.

Danwilu!

Danwil.

Już w Paryżu na zawsze zostaje.

Bonar.

W Paryżu! z jakich przyczyn i w jakim zamiarze?
Nie pojmuję, żartujesz sobie.

Danwil.

Nie, Bonarze!

Bonar.

Ty morski przedsiębiorca, znacznych dóbr właściciel,
Hawru, gdzie się urodził, nieodmienny czciciel,
Czy przestałeś go lubić?

Danwil.

O! miasto swobodne!

Było moją kolebką: powietrze łagodne,
Rozkoszne okolice, piękne położenie!

Jeden Konstantynopol z nim zarówno cenię.

Bonar.

Z jakiego więc powodu w Paryżu osiedzisz?

Danwil.

Oto!... wprzód daj mi słowo że się śmiać nie będziesz.

Bonar.

Mów śmiało.

Danwil.

Oto...

Bonar.

Cóż więc?

Danwil.

Otom się ożenił.

Bonar.

Widziałem żeś się wahał, żeś się zarumienił:
I zgadłem; druga żona!

Danwil.

Przykro żyć samemu.

Bonar.

Lat sześćdziesiąt!

Danwil.

I więcej,—nie zaprzeczę temu.

Bonar.

Powinieneś być, jako przyjaciel otwarty,
Donieść mi.

Danwil.

Tak, ażebyś stroił sobie żarty.

Bonar.

Żona ma lat czterdzieści zapewne?

Danwil.

Nie tyle.

Bonar.

Przynajmniej ze trzydzieści?

Danwil.

Jeszcze nie.

Bonar.

Więc ile?

Danwil.

O! jój cnoty, powaby jakże ci określę!
Dość, że młodszym się czuje kiedy o niej myślę.
Ojciec jój, owdowiawszy opuścił ojczyznę,
A po najdroższej żonie, jedyną spuściznę
Aniełę, wychowała pani Senkler, wdowa,
Blizka krewna; kobieta przystojna, światowa,
Wesoła, nieco żywa; mimo swoje lata
Niezdolna się oderwać od powabów świata.

Wreszcie, zbyt uprzedzona córki wielbicielka,
 Jeśli miłość jój zalet, może być zbyt wielka.
 Skorom poznał Anielę, mych uczuć przedmiotem
 Stała się. Odwiedzam ją często, częściej potem,
 Nawet co dzień, i żwawo kończę rzecz zaczęta.
 Drżałem, aby lat moich pod kródkę nie wzięto.
 Lecz dostrzegłem, że próżna trwoga mię uwodzi,
 Że z wdzięczności, z szacunku i miłość się zrodzi;
 Że hymen trwogę moję w trwałe szczęście zmieni,
 Łącząc kwiaty wiosenne z kłosa mi jesieni.
 Zaślubiłem Anielę. Krewna mojej żony
 Czuje do samotności jakiś wstręt wrodzony.
 Mój dom stał się jój domem; zgadłem tajemnicę,
 Że obiedwie pragnęły odwiedzić stolicę,
 Że powietrze nadmorskie zdrowiu ich nie służy.
 Usilnemi prośbami skłaniam do podróży.
 Skłoniłem. Jadą obie. Mnie przez kwartał cały,
 Jak na złość, różne sprawy w Hawrze zatrzymały.
 Przecież wczoraj przybyłem; zaledwie przywitac,
 Zaledwie czas znalazłem o zdrowie zapytać,
 Żona bowiem na dworski teatr miała lożę;
 Mógłbym jój zabawom przeszkadzać? broń Boże!
 Była więc na teatrze; ja gdy sam zostałem,
 Dla rozrywki mieszkanie nasze oglądałem.

Bonar.

To jest dom księcia Delmar?

Danwil.

Tak.

Bonar.

Wiedzieć wypada,

Iż w Ministerjum Skarbu jego stryj zasiada,
 Dziedzic w moim obwodzie: pewno świadom będzie,
 Żem jest dziekan poborców, najstarszy w urzędzie.
 Książę ma znaczne wpływy, jest człowiekiem modnym.

Danwil.

W domu tym, bardziej wielkim niżeli wygodnym,
Zajął na pierwszym piętrze wspaniałe pokoje.

Ja, filozof, na drugim dosyć nieźle stoje.

Bonar.

Świetnością i zbytkami jesteś otoczonym;

Małom cię nie powitał „Jaśnie Oświeconym”.

Ale.... jakżeś zostawił syna?

Danwil.

Od jesieni,

Tak, od jesieni przeszłej, żyjem rozłączeni.

Jego żona jest młoda, i moja jest młoda:

A nawet młodsza nieco; mogłaż zostać zgoda?

Mogłyż wspólnie zamieszkać, wspólnie rządzić obie?

Dom powinien na jednej polegać osobie.

Aniela lubi.... ja sam lubię świetne życie,

Syn mój, nad wszystko, ciche przenosi ukrycie.

Dziś żyje jak zamknięty. Lecz kocham go stale.

Bonar.

Jednak go nie widzisz? tego nie pochwałę,

Nie pochwałę; bo skoro przestałeś mu radzić,

Może go los zdradliwy w nieszczęście wprowadzić.

Nie dobrze gdy o synu ojciec zapomina!

Ja właśnie znam twojemu podobnego syna,

Którym się, jak ty, ojciec mało opiekował.

Cóż ztąd? zabrakło w kassie, bo syn źle rachował.

Dziś go czeka niesława; w tak ciężkiej przygodzie

Znalazłby wsparcie w ojcu, gdyby z nim był w zgodzie.

Ale gdy ich domowa poróżniła zwada,

We mnie tylko ostatnią nadzieję pokłada.

Czyli tysiąc dukatów możesz mi pożyczyć?

Danwil.

Sama ci żona moja zechce je wyliczyć.

Przy niej kassa.

Bonar.

Wybornie. Wcześniej to wyrobię,
 Że jej oddam w obwodzie następstwo po sobie.
 Twoja żona! O! kiedyś z tobą się rozstawał,
 Tyś mi się przyjacielu rozsądniejszym zdawał.
 W cieniu drzew rozłożystych, na rodzinnej ziemi,
 Zajmowałeś się wtenczas włościami twojemi.
 Przededniem już na nogach; ciągle cię dręczyła
 O dobro gospodarstwa niespokojność miła.
 Przyjąć kogo, odwiedzić, nigdyś nie był łatwy;
 Zjeść smaczno, wypić dobrze, strzelać kuropatwy,
 Wieczorem grać w pikietę, gdy złe karty miałem,
 Było twoją uciechą, twoją szczęściem całym.
 Dziś mieszkaniec stolicy, otoczony zbytkami!
 Spasły szwajcar na straży stoi przede drzwiami!
 I po co? tak się twojej żonie spodobało.

Danwil.

Anieli? Przy mnie władzę pozostawia całą.
 Lecz mniema, że powinien mieć w świecie znaczenie.
 Że może, do zdatości łącząc dobre mienie,
 Jeśli już nie najwyższe osiągnąć zaszczyci,
 To przynajmniej sprawować urząd znakomity.
 Może ta jej nadzieja w skutek się zamieni,
 I rad jestem, że tyle zdatość moją ceni.
 Cóż ty na to?

Bonar.

Nic.

Danwil.

Przecież?

Bonar.

Ja wynurzam zdanie
 Wtenczas, kiedy rzecz jaka jeszcze się nie stanie.
 Taki jest mój systemat; lecz gdy się co stało
 Przez systemat, rzecz każdą mam za doskonałą.

Usłudni przyjaciele zawsze się nadarzą,
 Co chociaż nie proszeni małżeństwa kojarzą.
 Oni i dla mnie żonę wynaleźli młodą,
 Tak uczoną jak książka: z majątkiem, z urodą,
 Nawet krewną ministra. Przyznałbyś, iż ona
 Jak gdyby naumyślnie jest dla mnie stworzona.
 Odmówilem.

Danwil.

I jakie miałeś w tym powody?

Bonar.

Bo jest młoda, bo piękna.

Danwil.

Odkądże wiek młody

Między odstręczające policzasz przywary?

Bonar.

Od czasu, jak poznałem że jestem już stary.
 By dobrane małżeństwo uwieńczyła stałość,
 W mojej żonie chcę znaleźć poważną dojrzałość.
 Zbyt stara, nie ma dla mnie ponęt; a wzajemnie
 Młoda, żadnychby ponęt nie znalazła we mnie.
 Cóżby do ślubnych związków przywiesić mię zdołało?
 Beżenstwo moja drugą naturą się stało.
 I co dzień się utwierdzam w zamiarze niezmiennym:
 Życ beżennym jak dotąd, i umrzeć beżennym.

Danwil.

Nie wiesz, że i małżeństwo ma słodczyce swoje!

Bonar.

Lecz ma i mnogie troski, tych właśnie się boję.
 Nie jestem z owych liczby, co chętnie z rozkoszą,
 Zgryźliwego ojcostwa słodkie trudy znoszą;
 Co długo wśród dostatku cierpiąc niedostatek
 Chępią się, że to czynią dla szczęścia swych dzieciak:
 Z liczby tych, co błędnieją, kiedy ma na oku
 Lada młodzik, siedzące żony przy ich boku.

Tych, co więząc świętoszki zdradzić ich gotowe,
 Nieustanną zazdrością suszą sobie głowę.
 Nigdy snu nie opóźnię, lub nie śpię za mało,
 Że się żonie do świtu tańczyć spodobało.
 Nie trwonię zbiorów moich na wymysły mody,
 I zawsze od wydatków, większe mam dochody.
 O drugiej jadam obiad; to utwierdza zdrowie:
 A tak żyjąc jak nasi żyć zwykli przodkowie,
 Cztery razy jem na dzień. Nie czekam zgłodzony
 Na córki toaletę, lub na rozkaz żony.
 Wszechwładnie w ręku moim trzymam rządu wodzę;
 Kiedy chcę idę z domu, kiedy chcę przychodzę.
 Ja sam jestem dla siebie panem, przyjacielem,
 Kochankiem, starań moich sam mogę być celem.
 O beżeństwo, beżeństwo! z tym swobodnym stanem
 Cóż w hymenie mogłoby słusznie być równaném?
 Godzien jestem zazdrości żem nie pojął żony;
 Słowem, czy to mieszczanin świeżo uszlachcony,
 Poeta co laur zyskał, generał co pobił,
 Bankier który na giełdzie w dwójnasób zarobił,
 Każdy próżno odemnie szczęśliwszym się mniema,
 A nawet i sam cesarz, chyba żony nie ma.

Danwil.

Ja zaś biorąc na siebie małżeństwa obronę
 Twierdzę, że najszczęśliwszy kto poślubił żonę:
 Kto wprzód w smutném beżeństwie długo zagrzebany,
 Słodkie, których się lękaasz, przyjmuje kajdany.
 Kocha, — powstaje z grobu; wraz z chwilą godową,
 Pochodnia życia mego zabłysła na nowo.
 Nie żyłem; z martwém sercem, z zasepioném czołem,
 Wiodłem byt odrętwiały: teraz żyć począłem.

Ileż przyjemnych rozmów, ile starań, względów?
 Zbłądzi i ona, powiesz: któż wolny od błędów?
 Rozumiész że przyjaciół dawnych postradałem?
 Mam ich dwa razy więcej, niżli pierwój miałem.
 Przeciw zbytkom Anieli słyszę głos potwarczy:
 Gardzę nim, mój majątek na większe wystarczy.
 A wiedząc że tajemnie ocięra łyż nędzy,
 Nie żałuję wydanych na stroje pieniędzy.
 Żona moja jest żywa, i ja jestem żywy:
 Choć do gniewu da czasem powód sprawiedliwy;
 Rozbroi go dobrocią; a tak jest wesola,
 Że w największém zmartwieniu pocieszyć mnie zdola.
 Jestem sam, wnet przybiega. Gdy chodzimy oboje
 Bawi mnie i mdlejące wspiera siły moje.
 Mam przecie kogoś w domu, co w troskliwej pieczy
 Dręczącój mnie podagrze wraz ze mną złorzeczy.
 Mam przecie kogo w domu, co z sercem ochoczym
 Zawsze mię słuchać gotów, gdy rozprawiam o czém.
 Dumny jestem z jój wdzięków: kogoż nie zachwyca
 Urok jój pięknych oczu, i świeżość jój lica?
 Gdy mi rano ta gwiazda przyświeca wesolo,
 Już potem do wieczora mam pogodne czoło.
 Nie pomnę że czas zwykle zrządził we mnie szkody;
 Kocham, ona mię kocha, jestem znowu młody.

Bonar.

Jaki ogień!

Danwil.

Dziś w wieczór przy wspólnój rozmowie,
 Musisz ze mną Bonarze spełnić mężów zdrowie.
 Przymuszę cię do tego; wszak jadasz wieczerzę?
 I ten zamiar staraniu Anieli powierzę.
 Wyszło z mody wieczerzać; szkoda, wielka szkoda:
 Od niój nowa wieczerzy rozpocznie się moda.

Miło przy nich rozmawiać w przyjacielskiem kole.

Aniela między nami usiądzie przy stole.

Skoro poznasz jój wdzięki, jój postać przyjemną,

Należne uwielbienie dzielić będziesz ze mną.

Obojętnością serca naprózno się chlubisz,

Bonarze, tak Bonarze i ty ją polubisz!

Lisiecki Dominik, wolne tylko chwile od obowiązków swoich, poświęcał literaturze. Pochodził z rodziny oddawna w Podlasiu zasiedziałej. Urodził się w dniu 6 stycznia 1801 r. W domu rodziców, a później w liceach sejneńskim i warszawskim, pierwiastkowe ukształcenie przyjąwszy, w r. 1818 przeszedł na uniwersytet warszawski. Pozyskawszy w tej głównej szkole stopień magistra prawa i administracyi, w r. 1821 rozpoczął zawód służby publicznej. Przez lat trzynaście, był urzędnikiem w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu. Dosłużył się stopnia naczelnika wydziału w Dyrekcyi Generalnej Kontrolli, i na tej posadzie lat kilka zostawał. Wykładał chwilowo kurs nauk administracyjnych, w byłej szkole leśnej; odznaczając się wszędzie znakomitą zdolnością, pracą, gorliwością, nieskazitelnym charakterem i znajomością przepisów służby skarbowej. Oddają mu to świadectwo wszyscy dawni kolledzy. W r. 1833 usunąwszy się od prac biurowych, osiadł na wsi, w majątności własnej; lecz i w tym nowym, może nieodpowiednim sobie, zawodzie rolnika, nie przestawał być użytecznym. Zaufanie współobywateli, powoływało go przez lat 14, do urzędów w głównych władzach Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, to jest w dyrekcyi i komitecie. Brał czynny udział przy odnowieniu w r. 1838, prawa, o Stowarzyszeniu Kre-

dytu Ziemskiego; a poprzednie oznajmienie się z administracją i skarbowością kraju, sprawiło, że był przez długi czas, jednym z najpracowitszych i najgorliwszych w tém stowarzyszeniu członków.

A tak, zmarły Dominik Lisiecki, czyto jako pisarz, czy jako urzędnik i obywatel, zasłużył na żal i piękne wspomnienie. W dniu 15tym kwietnia r. z., zgaśł zawczasie, przeżywszy lat 45. Zwłoki pochowane w kotakumbach powązkowskich.

F. S. D.



F,

7003

F
7003